

MONIKA B. JANOWSKA

CZWARTY POKOJ



MONIKA B. JANOWSKA

CZWARTY POKÓJ

Wersja Demonstracyjna



PSYCHOSKOK

Monika B. Janowska
„Czwarty pokój”

Copyright © by **Monika B. Janowska**, 2019
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Redakcja i korekta: **Robert Olejnik**
Korekta: **Joanna Barbara Gębicka**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Zdjęcie na okładce: © **ikostudio – stock.adobe.com**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-452-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

1. Wejście z gołym pośladkiem

Rumor nieziemski, niczym zapowiedź końca świata, poprzedziło głośnie przekleństwo. Potem już tylko apokaliptyczny hałas odbijał się złowrogim echem od ścian ponemieckiej kamienicy i toczył w dół po drewnianych schodach. Zastygłam oparta o brudną ścianę w przekonaniu, że oto wali się górna część kamienicy, łamią z trzaskiem belki stropowe, osypuje tynk, a układane niegdyś pieczołowicie cegły, lecą teraz w dół, siejąc zniszczenie.

Czyżby właśnie teraz kamienica, pamiętająca pruskie czasy, postanowiła demonstracyjnie obrócić się w gruz, okazując w ten sposób niezadowolenie z wieloletniego polskiego zaniedbania i zmiany lokatorów? I to właśnie w momencie, gdy z wielkimi nadziejami wprowadzam się ja, Dobrawa Tulewicz?!

Widok na wyższe piętra znacznie ograniczała, stojąca przede mną, wielka szafa, przezornie obwiązana grubym sznurem. Hałas tracił decybele, ale za to od szczytu niewidocznej spirali schodów leciały w dół, niczym kule piekielnego ognia, głośnie przekleństwa.

Rumor ucichł. Należało ocenić straty. Sądząc po donośnych przekleństwach, strat w ludziach na pewno nie było. Otrząsnęłam się z chwilowej drętwoty i zaczęłam przeciskać pomiędzy chwiejącą się niebezpiecznie balustradą a spletaną szafą. Aby zmieścić się w wąskiej przestrzeni, wciągnęłam brzuch, ale udało mi się jedynie wcisnąć jeden pośladek. Zrezygnowałam z przeciskania, z trudem wyszarpując nogę spomiędzy szczeliny. Cofając się, krytycznie przyglądałam się szczelinie między szafą a balustradą. Przejszcie tą drogą okazałoby się skuteczne dopiero po dwóch tygodniach głodówki! Za to dostrzegłam inną, choć nieco ryzykowną możliwość. Śmiało przerzuciłam jedną

nogę przez balustradę, łapiąc się kurczowo drewnianej poręczy. Udało mi się przerzucić drugą nogę, ale gdy już stawiałam stopę na stopniu, usłyszałam głośne rozdarcie materiału. Zaskoczona, obróciłam się i mogłam podziwiać kunsztowne rozdarcie swoich spodni i majtek, eksponujące efektownie mój pośladek. Winowajca, czyli wystający z balustrady gwóźdź, został przede mną spiorunowany spojrzeniem. Potem wyrównam z nim rachunki przy pomocy młotka!

– No, no! – usłyszałam ze schodów głos jednego z fachowców od przeprowadzek. Dziwny błysk w jego ciemnych oczach sprawił, że zrobiło mi się zdecydowanie za gorąco. – Jest na co popatrzeć!

Za jego plecami wyrosli jeszcze dwaj faceci, pogwizdując wesoło. Pospiesznie się odwróciłam i nieudolnie przyciskałam oberwany materiał do gołego ciała. Zupełnie straciłam zdolność myślenia i, niczym bezmózga blondynka, miotałam się na schodach. Marzyłam, by wtopić się pod tynk ściany.

– Trzeba sprawdzić, czy nie ma rany – dodał ten najbardziej cherlawy z całej ekipy. – Jak gwóźdź zardzewiały, to teżec mурowany!

– Co tutaj się, kurwa, dzieje?! – ryknął nagle z góry mało przyjemny głos, należący do mężczyzny, zarośniętego niczym Rumcajs. – Do rana macie zamiar tutaj sterczeć, farfocle jedne?! Waldek i Paweł zabierajcie się do tej szafy i jazda, kończymy! A ty, Młody, na górę sprzątać ten cały garnkowy burdel, coście go, debile, narobili!

Dopiero po zejściu kilka schodów niżej dostrzegł moją lichą postać, wciśniętą w róg półpiętra.

– O, przepraszam – rzucił bez skrępowania, gładząc się po gęstej czarnej brodzie. – Zaraz kończymy i po sprawie – dodał i wrócił na górę, skąd dochodził odgłos zbieranych garnków.

Ekipa w poskokach wykonywała polecenia. Dwaj od szafy z głośnym stęknieniem dźwignęli obwiązany mebel, w którym,

o ironio, spoczywały w workach moje ubrania. Skryta za nimi, przyciskając dłoń do pośladka, powoli wchodziłam na ostatnie, trzecie, piętro.

Już w mieszkaniu, chowając się przed spojrzzeniami członków ekipy, bez ociągania przebrałam się w wyciągnięte stare spodnie od dresu, które mogłam poświęcić na ofiarę złośliwym przedmiotom martwym i zbiegłam żwawo po kolejne rzeczy.

Chociaż przyjechaliśmy tutaj rano, jeszcze sporo zostało do wniesienia, a ja, wbrew mojemu mężowi, wolałam czuwać nad wszystkim i brać czynny udział w akcji, niż czekać na sygnał zakończenia u moich teściów albo włóczyć się bez celu po ulicach Legnicy.

Moja radość z przeprowadzki, ze zmiany, jaka nastąpiła, z nadziei, którą z tym wiązała cała nasza pięcioosobowa rodzina, dodawała mi sporo energii. Jednak kolejne i kolejne podejścia na szczyt z ciężarami w ramionach sprawiały, że moje ruchy straciły na początkowym impecie. Coraz częściej zatrzymywałam się na półpiętrach dla złapania oddechu i oddania się optymistycznym rozmyśleniom, jak powinno się zmienić na lepsze nasze życie.

Cóż, do tej pory nie byłam pupilką losu. Najpierw tragiczny wypadek moich rodziców, gdy miałam dziesięć lat, potem traumatyczna wędrówka pomiędzy nieprzyjaznym rodzeństwem, śmierć przyjaciela z dzieciństwa, a na koniec długotrwałe borykanie się z biedą, mieszkaniem w koszmarnie upadających warunkach w zrujnowanym domu moich rodziców, w Uszy, i niechęcią do naszego małżeństwa ze strony tak mojej, jak i rodziny Arka.

Właśnie wnosłam dwie lampki nocne z szerokimi niebieskimi kloszami, gdy zadzwonił mój telefon. Balansując na schodach, przełożyłam jedną lampę do drugiej ręki i z niemałym wysiłkiem odebrałam:

– Dzień dobry! – przywitał mnie nieznany męski głos. – Czy rozmawiam z panią Dobrawą Tulewicz?

– Owszem – potwierdziłam, przyciskając telefon policzkiem do ramienia i zajmując na powrót obie ręce lampkami, wysłuchałam skróconej formułki przedstawienia się i powodu, dla którego zostałam zaszczycona połączeniem.

– Przepraszam, ale to nie jest najlepszy moment... – usiłowałam przerwać słowotok uprzejmego konsultanta, któremu zależało na wypełnieniu ankiety na temat preferowanych przez mnie środków chemicznych i nie zaprzestawał prezentowania korzyści, płynących z udzielenia przez mnie tych kilku odpowiedzi.

Z przechyloną głową, przyciskając policzkiem telefon do ramienia i przytulając do siebie niewygodne w niesieniu lampy, wspinałam się po schodach z dość ograniczoną widocznością. Usłyszałam właśnie, jak biegną na dół chłopcy z ekipy i instynktownie przesunęłam się do balustrady, nie przerywając wspinaczki i czekając na moment, gdy konsultant zrobi przerwę dla nabrania powietrza, bym mogła wtrącić się i grzecznie pożegnać. No i poczułam, i usłyszałam efektowne głośnie rozdarcie materiału, a potem powiew chłodniejszego powietrza na moim półnagim pośladku. Spory kawałek spodni dresowych pozostał na gwoździu, poruszając się niczym proporczyk.

– Kurwa mać! – wykrzyknęłam wbrew sobie.

– Teraz to jest zdecydowanie lepszy widok! – usłyszałam śmiech tego cherlawego, ale po chwili podejrzenie umilkł i hałaśliwie zadudnił butami po schodach, biegnąc na dół.

– Halo! Halo! – darł się zdeterminowany konsultant, ale nie bawiłam się już w żadne grzeczności, wściekła na własne gapiostwo.

– Pierwszy raz to może być przypadek – usłyszałam głos szeffa-Rumcajsa, co wyjaśniało pospieszne oddalenie się cherlawego. – Ale drugi raz to już pech! Niedobrze! Bardzo niedobrze!

I sądząc po hałasie, również biegł na dół, pozostawiając mnie z echem złej wróżby, wciąż dźwięczącej w mojej głowie.

Postawiłam lampy na półpietrze, wyłączyłam telefon z domagającym się odpowiedzi konsultantem i, pokonując w niehumanitarnej furii po dwa, a nawet po trzy, schody, dotarłam do mieszkania. Niestety, nie mogłam zlokalizować młotka, ale doskonale wiedziałam, gdzie spakowałam tłuczek do mięsa. Z tą samą energią wróciłam do miejsca, gdzie, zaczepiony o wystający gwóźdź, zwisał z poręczy kawałek mojego dresu. Zerwałam materiał i z całej siły, jaką wyzwolił we mnie sprzeciw wobec fatum, trzymając oburącz tłuczek, waliłam w złośliwy gwóźdź.

– Nie! Życze! Sobie! Już! Żadnego! Pecha! – wykrzyczałam porządnie, tak, aby wyższa instancja, ingerująca w mój los, też mnie wyraźnie usłyszała i nie miała wątpliwości, że nie dam sobie planowanego, nowego, lepszego życia odebrać!

2. Stary brulion w przepisowej szufladzie

„Drogi Bartku! Dzisiaj zabiłam tłuczkiem do mięsa mojego życiowego pecha! Teraz może być tylko lepiej!” – zanotowałam w moim starym brulionie, w którym zwykłam odnotowywać przemyślenia albo żale. Przeważnie miały konkretnego, aczkolwiek już nieżyjącego adresata, mojego przyjaciela z dzieciństwa albo „nastolactwa”, Bartka albo moich rodziców. W nadmiarze obowiązków „Matki-Polki” coraz częściej zdarzało mi się formułować swoje „listy” w myślach, ale i wtedy spełniały swoje terapeutyczne cele. Gdy tylko było mi w życiu niekomfortowo, a przeważnie tak właśnie mogłam określić swój stan we wcześniejszych latach, wówczas w tajemnicy przed wszystkimi pisałam listy do Bartka i rodziców.

Odłożyłam brulion do jednej z kuchennych szuflad, gdzie postanowiłam przechowywać stare przepisy i kilka książek kucharskich. Wcisnęłam go na samo dno, by mieć pewność, że żaden z moich mężczyzn tutaj nie będzie szperał, gdy ujrzy niemęską zawartość. Chociaż może bardziej odstręczające mogłyby być podpaski, bo a nuż któryś zapala chęcią wzięcia udziału w kolejnej edycji Masterchefa?

Zgodnie z obietnicą szefa-Rumcajsa, ekipa rzeczywiście uwinęła się ekspresowo z ustawianiem mebli według moich wskazówek, choć nie bez kłopotów z aparatem mowy i z grawitacją, która podejrzanie działała na kroki tragarzy. Ostatecznie odebrali umówioną zapłatę i wesoło opuścili mieszkanie. Zamknęłam za nimi drzwi i spojrzałam na przeprowadzkowy bałagan, który wypełniał przedpokój o rozmiarach sali balowej. Drzwi do pozostałych pomieszczeń były zamknięte, ale i tak wiedziałam, że tam także nie panuje wzorowy porządek.

Od razu poczułam się zmęczona i pożałowałam swojej decyzji, że ze wszystkim uporam się sama. Do zmęczenia dołączył jeszcze smutek, gdy ogarnęłam wzrokiem nasze rzeczy w ogromnym mieszkaniu po ciotce Celinie. Tym bardziej widać było ich skromność i ślady nadgryzienia zębem czasu oraz zniszczenia poczynione przez panującą w poprzednim miejscu wilgoć. Innych nie mieliśmy, lecz dla mnie miały one wartość sentymentalną. Zresztą, gdy tylko pójdę do pracy, pozbędę się meblościanki z socjalistycznym rodowodem i wszystko się zmieni na lepsze! Tej wersji zamierzam się trzymać!

Po ciotce Celinie i jej rzeczach nie pozostał najmniejszy ślad. Z kilku wizyt pamiętałam, że posiadała znacznie starszą od naszej meblościankę, w dodatku na wysoki połysk, z półkami uginającymi się pod imponującą kolekcją różnej wielkości kryształowych koszyków. Jako że brzydziła się sprzątaniami i myciem, wewnątrz wypełniał z roku na rok coraz intensywniejszy smród, a nadmiar gromadzonych obsesyjnie rzeczy ograniczał jej życie jedynie do jednego z czterech pokoi.

Nie było wyjścia, jak pozbyć się wszystkiego. Mimo wszystko, pomyślałam, że to smutne. Ciotka Celina nie należała może do najsympatyczniejszych osób i z pewnością nie otrzymałaby nawet nominacji w plebiscycie na najżyczliwszą osobę w rodzinie, ale przecież nie można tak przestać istnieć w ludzkiej pamięci? Arek, mój mąż, nie posiadał takich skrupułów. Bezceremonialnie pozbył się wszelkich pamiątek po swojej krewnej, której zawdzięczał to mieszkanie. „Stara panna” zwykł o niej mówić, nie kryjąc pogardy. Staropanieństwo, według jego logiki, było nienaturalne i godne potępienia. Jakby tylko mąż mógł dać kobiecie pełnię szczęścia.

Podobnie myślała cała rodzina Arka, a samotną starość i śmierć Celiny stawiano za przykład złych wyborów życiowych. „Wybrzydzała, wybrzydzała i na starość nie miał kto jej szklanki wody podać”, mawiała moja wszechwiedząca teściowa, siostra ciotki Celiny.

Zamknęłam oczy i potargałam swoje blond włosy, by po chwili porzucić niepotrzebne rozmyślania i zająć się wreszcie rozpakowywaniem rodzinnego dobytku Tulewiczów. Trybiki wskoczyły na swoje miejsce i maszyna Dobrawa znów zaczęła działać.

Na początek skupiłam się na pokojach chłopców, by mogli nacieszyć się swoją przestrzenią, której w starym domu w Uszy tak bardzo nam wszystkim brakowało. Mniejszy pokój przeznacziliśmy dla najstarszego Piotra, który poszedł od września do Technikum Samochodowego. Większy, z piętrowym łóżkiem, mieli zamieszkać dziesięcioletni Kuba i czteroletni Miłosz.

Mnie i Arkowi przypadł tymczasowo pokój zwany stołowym, ale obiecałam sobie, że gdy tylko finansowo się w naszej rodzinie poprawi, czwarty pokój, obecnie graciarnia, zostanie zamieniony w sypialnię marzeń! Właśnie czwarty pokój budowałam sobie w wyobraźni od nowa z wielkim, wygodnym łóżkiem, którego nie trzeba codziennie ścielić, ścianami w kolorze lawendy i szyfonowymi firankami. No i koniecznie sypialnia z toaletką z lustrem, jaką miała moja świętej pamięci mama, kiedy nasz dom w Uszy nie był jeszcze chylącą się ruiną.

Wzdrygnęłam się, wspominając słowa ciotki Celiny: „pokój wisielca” – tak zwykła mawiać o tym miejscu, aby przestraszyć dzieci. Moich nie udało się przestraszyć żadnymi opowieściami i zawsze chętnie tam baraszkowały. Mnie też nie odstraszy zła opinia nieboszczki Celiny.

Dla spotęgowania zapału do tytanicznej pracy i zagłuszenia niechcianych myśli, uruchomiłam mój archaiczny magnetofon. Z głośników PRL-owskiej „Marty” popłynęły stare dobre przeboje Budki Suflera z albumu „Cień wielkiej góry”. Krzysztof Cugowski śpiewał, że „po nocy przychodzi dzień”, więc, ufając jego słowom, ostro zabrałam się do sprzątania, a ostatnie sentymenty rozwiął przeciąg z otwartych na oścież okien i drzwi. Wywiewał też ostatnie zapachy po poprzedniej lokatorce.

Dzień powoli zbliżał się ku końcowi, oświetlając mieszkanie od zachodniej strony pomarańczowym światłem, gdy przeniosłam się wreszcie do kuchni. Widok lodówki sprawił, że poczułam głód. Jednak wiedziałam, że niczego nie mogę się spodziewać po jej zawartości. Owszem, powinnam zrobić zakupy, owszem, powinnam coś ugotować, bo kuchenka od dawna czekała na odpalenie, ale...

W kartonach znalazłam suchary, butelkę wody i puszki z groszkiem i kukurydzą konserwową. Własne przetwory, których zatrważające ilości zdołałam wyprodukować w Uszy, od razu zaniiosłam do piwnicy, wyłożyłam efektownie na regałach i zabezpieczyłam solidną kłódką. Zaburczało mi złowrogo w brzuchu, więc nie pogardziłam dość specyficznym posiłkiem i gdy właśnie poczułam mdłości od zjedzonego do połowy groszku, zadzwonił mój telefon.

– Jak ci idzie? – spytał bez wstępów Arek.

– Właśnie układałam w kuchennych szafach... – odpowiedziałam, walcząc z buntującym się żołądkiem.

– Przyjechałbym, ale mama poprosiła mnie, abym naprawił tę szafę w przedpokoju, więc nie wypadało odmówić.

– Oczywiście! – rzuciłam z mieszanymi uczuciami i coraz intensywniejszymi mdłościami. Zielony groszek szykował się do wyjścia!

– Co ty tak dziwnie mówisz? – dopytywał się Arek. – Zasięg tracisz? W sumie nie powinnaś...

– Muszę kończyć, bo groszek chce wyjść!

Rozłączyłam się, porzuciłam rozmowę i pobiegłam do łazienki, obtłukując golenie i kolana o stojące kartony. No i z siłą wenezuelskiego wodospadu Salto Angel groszek opuścił moje wnętrzności, bez żalu z mojej strony.

Nie oddzwaniałam do Arka, czując żal, że mimo mojego postanowienia samotnej kontroli nad przeprowadzką, nie sprzeciwił się i teraz udziela się w mieszkaniu teściów, a nasze...

Machnęłam ręką, rozsądnie podsumowując w ten sposób rozważania, będące w tej chwili czystą stratą czasu.

Kiedy zamknęłam okna, od razu poczułam niemiły zapach stęchlizny. Moje węchowe podejrzenia intensywniały w przedpokoju i, wyczulony na zapachy nos, skierował mnie w stronę czwartego pokoju, który w założeniach miał przecież pachnieć obietnicą pięknej sypialni, a nie stęchlizną.

Początkowo zignorowałam smród, bo nadmiar roboty mnie nieco przerastał i w związku z tym rozpoznawanie nieprzyjemnych woni znalazło się na ostatnim miejscu zadań do wykonania. Jednak, schylając się do kolejnego kartonu, poczułam znów ten nieprzyjemny strychowy zapach. Podniosłam się z kolan i podeszłam do zamkniętych drzwi.

– Trzeba koniecznie otworzyć tam okno – wypowiedziałam na głos, energicznie łapiąc za klamkę. Otworzyłam drzwi z głośnym skrzypieniem i... zamarłam. Pośród przeróżnych i rozmaitych gratów, wiader po farbach, zwiniętej malarskiej folii i starej skrzynki niewiadomego przeznaczenia, stał wysoki młody mężczyzna i refleksyjnie kontemlował widok za oknem o zachodzie słońca.

Zamarłam, to mało powiedziane! Przestałam się ruszać i przestałam oddychać, a serce przesunęło się ekspresowo do gardła i waląc niczym kafar, usiłowało się wydostać na zewnątrz! Żadnego ruchu nie mogłam wykonać. Nawet przełknąć śliny, ani oddychać, bo tak mnie замуrowało. Gdzieś wewnątrz mnie wszystko się rwało do ucieczki, ale nogi nie reagowały na impuls z mózgu. Nie reagował też facet, a przecież skrzypienie tych drzwi usłyszałby nawet głuchy! Z rękami w kieszeniach spodni patrzył niezrażony nadal w okno, jakby był u siebie. Czy to zwykły intruz? A może bandyta spokojnie czekający na swoją ofiarę?!

3. Czesław Miłosz opanowuje sytuację

Bandyta! To słowo zadziało na moje sparaliżowane ciało i odblokowało je na tyle, że rzuciłam się z przeraźliwym wrzaskiem do drzwi wyjściowych. Zbiegałam po schodach, bijąc rekordy świata i nieludzko krzycząc: „Bandytaaaa!”. Dopiero na parterze wyhamowałam, wpadając na drzwi z mosiężnym numerem „1”. Bez zastanowienia załomotałam w nie pięściami i po chwili stanęły otworem. Klatkę schodową wypełniła głośna rytmiczna muzyka, a w progu pojawił się przystojny młodzieniec z burzą ciemnych włosów i z uwieszoną na ramieniu blond pięknoscią. Wciąż porażona strachem, wczepiłam się palcami w wolne ramię i dysząc ciężko, zaczęłam ciągnąć chłopaka na schody. W trakcie szarpaniny, jaka musiała wyniknąć, bowiem młodzieniec stawiał opór, usiłowałam chaotycznie tłumaczyć, o co mi chodzi, obcym, piskliwym głosem, którego w ogóle u siebie nigdy nie słyszałam, a który dodatkowo mieszał się z basową barwą, śpiewającego w tle wokalisty.

– Co się stało?! – krzyknął zniecierpliwiony młodzieniec, przyglądając się uważnie mojej twarzy. Konkretnie spoglądał na usta, jakby chciał czytać z ruchu warg, bo nic nie rozumiał z mojego bełkotu, wymieszanego z ciężkim sapaniem.

– To jakaś wariatka! – skwitowała dziewczyna i pociągnęła swojego faceta z powrotem do mieszkania.

Naszą szarpaninę przerwało głośne trzaśnięcie bramy wejściowej. O dziwo, słyszane, pomimo hałasu wydobywającego się z mieszkania numer jeden. Po chwili przed nami stanął... Czesław Miłosz! Niesamowite podobieństwo do poety u tego eleganckiego mężczyzny po siedemdziesiątce grzmotnęło mną nie mniej niż widok intruza w czwartym pokoju. Czesław

Miłosz zatrzymał się tuż za drzwiami klatki schodowej i badając nas uważnym spojrzeniem spod charakterystycznych dla poety brwi, zamarł, nie bardzo wiedząc, z czym ma do czynienia. Na pierwszy rzut oka mogliśmy wyglądać jak grupa Laokoona. Jednak odrzucając mitologiczne skojarzenia, scena przypominała raczej prymitywną walkę dwóch kobiet o mężczyznę.

– Panie Rafale, co tu się dzieje?! – padło grzeczne, ale głośne pytanie z ust eleganckiego pana.

Pan Rafał, którym musiał być napastowany przeze mnie młodzieniec, stanowczo uwolnił swe ramiona z kobiecych uścisków, a odzyskawszy władzę nad swoim ciałem, chrząknął głośno i wskazując na mnie, odezwał się równie grzecznie i głośno:

– Sam chciałbym wiedzieć, panie Stanisławie!

– Naprawdę? – zdumiał się starszy pan, nie przestając krytycznie przyglądać się naszej trójce.

Pan Rafał ponownie chrząknął głośno i spojrzał na mnie.

– Otóż wiem tylko tyle, że ta... pani waliła pięściami w moje drzwi...

Pan Stanisław powstrzymał dalsze wyjaśnienia, uniesioną w górę dłonią.

– Czy mogę najpierw poprosić o przyciszenie muzyki? – zwrócił się do młodzieńca.

Niecałą minutę później wszyscy odetchnęliśmy ciszą. Jedyne na twarzy blond niewiasty pojawił się grymas niezadowolenia. Młodzieniec powrócił, by kontynuować wyjaśnienia:

– Waliła pięściami i potem coś niezrozumiale usiłowała mi właśnie powiedzieć.

– Szarpała cię i z pazurami skoczyła, wariatka jedna – dodała blond zołza, by tym komentarzem zdyskredytować mnie jako potencjalną rywalkę.

-- Co się stało, droga pani? – spytał mnie bardzo uprzejmie Czesław Miłosz, nazywany panem Stanisławem.

Przechylił głowę, ręce zaplótł na podołku i czekał spokojnie wraz z dwójką młodych ludzi na moje wyjaśnienia. Na chwilę zapadła cisza, której nie pozwoliła trwać zniecierpliwiona zołza. Głośno chrząknęła, popędzając mnie do szybszego opanowania swojego zdenerwowania. Serce wciąż waliło mi jak oszalałe, ale rozbiegane myśli już karnie ustawiły się w szeregu, zdolne do oczekiwanych wyjaśnień:

– W moim mieszkaniu jest jakiś bandyta – oznajmiłam, odzyskanym wreszcie własnym głosem. – Stoi i gapi się w okno.

Sądząc po zdumionych minach słuchaczy, pozornie proste wyjaśnienie najwyraźniej było pozbawione jakiejś niezbędnej części składowej. Czułam się zobowiązana do bardziej szczegółowych wyjaśnień. Pod badawczym spojrzeniem eleganckiego noblisty starałam się nawet dbać o dobór słownictwa.

– Jestem nową lokatorką. Mieszkamy wraz z mężem i trójką dzieci na samej górze. Właśnie się wprowadziliśmy. Sprzątałam mieszkanie i on tam stał.

– Rozumiem. Miło mi panią poznać – odpowiedział starszy pan i sekundę później pocałował mnie w dłoń. – Stanisław Henrykowski jestem. Mieszkam z małżonką Aldoną na pierwszym piętrze.

– Dobrawa Tulewicz – odpowiedziałam, zbita z tropu szarmanckim zachowaniem pana Stanisława. A może byłam zaskoczona i trochę rozczarowana, że nie przedstawił się jako Czesław Miłosz?

– Dobrawa! – wykrzyknął entuzjastycznie. – Cóż za stare i precudne, ale i rzadkie imię! Dobrawa! Niewiarygodne! Prawdziwie słowiańskie i pozytywnie naznaczone. Ale przepraszam bardzo za te dywagacje. Pani pozwoli, że przedstawię naszego sąsiada z parteru – pan Rafał Kloch i, jak się domyślam, jego nowa narzeczona.

– Rafał Kloch – młodzieniec również cmoknął moją dłoń, a ja odruchowo dygnęłam jak grzeczna panienka i powtórzyłam swoje niefortunne imię.

Dziewczyna, która jeszcze chwilę temu wisiła młodzieńcowi na ramieniu, nie czuła się zobowiązana przedstawić. Parsknąwszy pogardliwie, wróciła do mieszkania i głośnieym trzaśnięciem drzwi podsumowała swój stosunek do mojej osoby.

– Przepraszam – pan Rafał rozłożył bezradnie ręce, uśmiechając się i próbując załagodzić sytuację.

– Zatem powróćmy do pani kłopotu, pani Dobrawo – zwrócił się do mnie pan Stanisław.

Poczułam się tak, jakbym jakąś błahostką zawracała głowę tym spokojnym, kulturalnym ludziom. Jakbym zamiast bandyty–intruza w moim mieszkaniu zobaczyła małego pajaka, którego w swej kobiecej bojaźliwości nie potrafiłam samodzielnie zabić.

– Ktoś jest w moim mieszkaniu – wyjąkałam, przypominając sobie mężczyznę w czwartym pokoju.

– No i zapewne jeszcze jest – stwierdził pan Rafał. – Innej drogi wyjścia nie ma, chyba że to jakiś kaskader...

– Cóż, nic innego nam nie wypada uczynić, jak zajrzeć do pani mieszkania i wybawić panią z kłopotu – orzekł starszy pan i energicznie ruszył na górę.

– Może wezwiemy policję? – zaproponowałam nieśmiało, ale nikt mnie już nie słuchał, bowiem i młodzieniec ruszył po schodach do mojego mieszkania.

Nie było co stać i biernie czekać. Poszłam i ja. Drzwi do naszego mieszkania zastaliśmy szeroko otwarte, i całe szczęście, bowiem z jednej strony mają klamkę, a z drugiej nieruchomą gałkę. Zatrzaśnięte, nie zostaną otwarte bez klucza. A ja, wybiegając w przestachu, nie myślałam o kluczu.

Mężczyźni weszli do środka i ruszyli powoli we wskazanym przeze mnie kierunku. Weszli do czwartego pokoju i po chwili wyszli, wzruszając ramionami. Następnie zajrzeli jeszcze do pozostałych pomieszczeń i nawet do szafy na wszelki wypadek.

– – Nikogo nie ma, droga pani Dobrawo – oznajmił zmar-twionym głosem pan Stanisław.

Rafał Kloch wspiął się jeszcze na strych nad naszym miesz-kaniem, ale i tam nie było nikogo.

– Ale... ale... przecież stał tam... przy oknie – wyjąkałam, niczego nie pojmując. – Sama widziałam.

Obaj spojrzeli na siebie, lecz pewni skuteczności swych oględzin całego mieszkania, nie zdradzali chęci do ponownej lustracji wszystkich pomieszczeń i kątów. Poczułam się nie-pewnie, stojąc na środku przedpokoju kompletnie zdezorien-towana. Pod wpływem spojrzeń obu sąsiadów czułam się jak wariatka. Rany Józek! Przecież tam był! A może jednak mi się przywidziało?

– Nie wiem... przepraszam za kłopot... – wybąkałam. – Dzień-kuję... Sama nie wiem...

– Drobiazg – machnęła bagatelizująco ręką pan Stanisław. – Zupełny drobiazg. Sąsiedzka pomoc zawsze do usług. Do wi-dzenia.

W progu wpadli na moich trzech synów i Arka, co pociągnęło za sobą grzecznościowe przedstawienie. Z rozbawieniem przy-słuchiwałam się, jak mój mąż, pod wpływem pana Stanisława, starannie dobierał słowa i rozplýwał się w uprzejmościach. Najwidoczniej ten elegancki pan ma w sobie coś takiego, że bez wyraźnego wysiłku czyni ludzi lepszymi.

Tyle że krótkoterminowa to odmiana.

– Ty się udzielasz towarzysko, całuję w rączki i duperele, a telefonu nie odbierasz! – wykrzyknął Arek. – Który to jest „Groszek”?!

No i czar prysł. Znikł, jak ten facet z czwartego pokoju.

4. Dobre imię to podstawa

Poranek przywitał nas słonecznie i ciepło, dając nikłą nadzieję, że początek nowego życia zapowiada się jasno i pozytywnie. Gdy tylko mieszkanie opustoszało, a ja zostałam z najmłodszym synem Miłoszem, błyskawicznie uporałam się wreszcie z całym przeprowadzkowym bałaganem i na koniec postanowiłam nagrodzić się dłuższym relaksującym spacerem. Szczególnie że wrześniowe słońce kusząco świeciło i zatęskniłam za otwartą przestrzenią. Wspomnienie wczorajszego przeżycia i tkwiącego wciąż w pamięci obrazu młodego mężczyzny w czwartym pokoju, przyprawiało mnie o ciarki. Jeszcze wczoraj pokój został ponownie zdegradowany do funkcji graciarni, gdzie, nie podnosząc wzroku, wrzucałam niepotrzebne przedmioty. I choćby przyszło z milion sąsiadów i milion świadków, twierdzących z przekonaniem, że nikt tam nie stoi, ja wiem, że ktoś tam był. Tylko jak wszedł i jak wyszedł? Nie pozostało mi nic innego, jak zrzucić omamy na karb zmęczenia albo na efekty halucynogenne zepsutego groszku, ale na wszelki wypadek unikałam konfrontacji.

Ledwie wyszliśmy na ulicę z mrocznej bramy kamienicy, otoczyło nas ostre słoneczne światło i kojące ciepło ostatnich letnich dni. Miłosz ciekawie przyglądał się mijanym, ogrodzonym ogródkom przy kamienicach z bujną roślinnością, najczęściej zdziczałą i zapomnianą. Potem pochłoneła go bez reszty ulubiona zabawa w przeskakiwanie linii, czyli łączeń i pęknięć w granitowych chodnikach. A mnie pochłoneły własne myśli, oczywiście uparcie i wbrew mojej woli, powracające do wczorajszego incydentu i poznanych w niecodziennych okolicznościach sąsiadów.

Dobrawa. Niewiarygodne, że można tak nazwać dziecko, które się kocha! A jednak. Moi rodzice, niech spoczywają w pokoju, właśnie takie dali mi imię. Zapewne nie mieli złych intencji, choć trudno znaleźć w tym pocieszenie. No, mogło być gorzej... Taka na przykład Wyszeniega, Izbygniewa, Jarmiła, Więcesława, Mściśława, Dziadumiła czy Strzeżysława to dopiero coś!

Zachwył nad moim niecodziennym imieniem ze strony świeżo poznanego sąsiada należał do nielicznych. Naprawdę tak się nazywałeś? – było najczęstszą, pełną szczerzego niedowierzania, reakcją, gdy tylko się przedstawiałam. Nie wspomnę szkoły, gdzie stanowiłam sensację roku. Przewisko Dobrawa – Zielona jak Trawa wypłakiwałam przez całą podstawówkę. Aby zaoszczędzić sobie uwag i kłopotu dla innych, prosiłam, aby mnie nazywano Bogusią. Ostatecznie Dobrusia i Bogusia brzmią podobnie.

Nawet mój mąż, Arkadiusz, poznał mnie jako Bogusię. Dopiero po dłuższym czasie wyznałam prawdę i grono zachwyconych powiększyło się o kolejnego członka. Tylko kiedy Arkadiusz Barbarzyńca zajął miejsce mojego Arka Księcia z Bajki? Ale myślę, że w nowym miejscu sobie z tym poradzimy!

Właśnie dotarliśmy do parku i Miłosz, uwiedziony otwartą przestrzenią, puścił moją dłoń, by pobiec w radosnych podskokach przed siebie główną aleją. Przyspieszyłam kroku, aby nie stracić go z oczu, ale dziecko po chwili zawróciło i z otwartymi ramionami biegło już w moją stronę. Po chwili chwyciłam go, unosząc w górę i wtulając się z przyjemnością. Takie chwile tak szybko przemijają, a za moment dzieci stają się starsze i nieskore do przytulania. Jak nasi dwaj starsi synowie: Jakub i Piotr. Jeszcze wczoraj słodkie niemowlaki, a dzisiaj pulchny Kubuś kończy podstawówkę, a przyszczyty Piotr uczy się w technikum. Wyjątkowo udane egzemplarze, które pomimo szlachetności matki i stawianego im dobrego przykładu, wzorują się uparcie na ojcu.

Wrześniowe słońce zachęcająco świeciło w ostatnich podrygach lata w wypełnionym soczystą zielenią parku. Stary

drzewostan, poprzetykany świeżymi nasadzeniami, zachęcał do spacerów żwirowymi alejkami. Drzewa już zaczynały gdzieś niedzie przybierać jesienne barwy, choć w rabatkach nadal kwitły kolorowe kwiaty. Po katastrofalnej nawałnicy, która zebrała największe żniwo zniszczenia właśnie w tym miejscu miasta, park powoli odzyskiwał swój niezwykły urok.

Miłoszowi od razu wpadła w oko fontanna i teraz zbierał mnóstwo drobnych kamyków, by wrzucać je do sadzawek. Usiadłam na ławce i pełna wątpliwości przyglądałam się synowi, rozmyślając o naszym nowym życiu w mieszkaniu ciotki Celiney w Legnicy.

Nie po raz pierwszy się przeprowadzałam. W Legnicy mieszkałam od dziesiątego do osiemnastego roku życia, ale nie były to najszcześnie lata. Po tragicznym wypadku moich rodziców, z którymi spędziłam szczęśliwe dzieciństwo w Uszy, maleńkiej wsi na końcu świata, przysgarneło mnie dużo starsze rodzeństwo. Nastąpił ponury okres przerzucania mnie pomiędzy siostrą Krystyną a bratem Mariuszem. Mój drugi brat, Jurek, mieszkający w Warszawie, nawet słyszeć nie chciał o opiekowaniu się młodszą, nieznaną mu siostrą. Wciąż w delegacjach, podróżach służbowych, nie obarczony rodziną, mógł jedynie łożyć na moje utrzymanie, ale opiekę musieli sprawować Krysia i Mariusz. No i sprawowali, nie kryjąc niechęci, a ja odtąd musiałam być bezgranicznie wdzieczna mojemu rodzeństwu, że nie wylądowałam w bidulu, gdzie znajduje się najlepsze miejsce dla takich bachorów. Nie sposób uwierzyć, że wychowali nas ci sami rodzice.

– Mamuś, mamuś tam jest pieniążek – wykrzyknął Miłosz, wskazując na wodę. – Wejdę i wyjmę pieniążka, a ty mi kupisz lizaka.

Proszę, jaka sprytna bestia. Nigdy dość słodczy.

– Miłosz, nie wyjmujemy pieniążków z fontanny.

– Ciemu?

– Bo tam się je wrzuca, a nie wyjmuje.

– Ale czemu? – nie odpuszczał czterolatek.
– Na szczęście. Ktoś tam rzucił pieniądze, aby mieć szczęście. Pomyślał życzenie i jakbyśmy wyjęli, to by mu się nie spełniło – wymyślałam pospiesznie odpowiedź. – Możesz też pomyśleć życzenie. Chodź, dam ci pieniądze.

Wyjęłam z portfela pięć groszy, ale Miłosz skrzywił się.

– Tam jest srebrny, nie taki jak twój...

Nie skomentowałam tej rozrzutności, ale wysupłałam złotówkę. Co będę dziecku szczęścia żałować. Ze wzruszeniem przyglądałam się Miłoszowi, jak po wyrzuceniu monety do fontanny na powrót zajął się kamyczkami. Ogarnął mnie smutek, gdy przypominałam sobie, jak Arkadiusz zareagował na wieść o trzeciej ciąży. Można to sprowadzić do delikatnego stwierdzenia, że „szczęśliwy nie był”.

Miłosz podbiegł znienacka, wtulając się we mnie.

– I co? Pomyślałeś życzenie? – zainteresowałam się.

– Tak – pokiwał główką. – Żebyśmy wrócili do domu!

Wstrząsnął mną dziwny dreszcz i choć nie miałam ochoty wracać do mieszkania, podniosłam się z ławki.

– Zaraz ci się spełni, bo właśnie wracamy – odpowiedziałam, biorąc Miłosza za rękę. – Piotr i Kuba pewnie już wrócili ze szkoły...

Miłosz tupnął nogą i wyrwał mi rękę, prezentując niezadowoloną minę.

– Ale do naszego prawdziwego domu, a nie do tego na górze! – wykrzyknął, biorąc się pod boki.

Westchnęłam. Mimo wszystko mnie także brakuje Uszy – maleńkiej wioski zapomnianej przez wszystkich, z kilkoma domami na krzyż, brukowaną drogą, zdziczałymi sadami opuszczonych gospodarstw, fragmentem lasu i zapuszczoną ruiną PGR-u. Tęsknię za naszym starym domem, ogrodem i sadem... Tęsknię też za moimi kochanymi rodzicami, którzy z pewnością byliby najlepszymi dziadkami na świecie...

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Spis treści

1. Wejście z gołym pośladkiem	3
2. Stary brulion w przepisowej szufladzie.	8
3. Czesław Miłosz opanowuje sytuację.	13
4. Dobre imię to podstawa	18
5. W oparach dymów	22
6. Wspomnienia ze starych brulionów.	28
7. Pojedynek na damskie tusze	34
8. W poszukiwaniu zdrowego rozsądku	39
9. Nie ma jak pokrzepiająca wizyta krewnych	44
10. Poważne spotkanie z podmiotem duchowym	48
11. Prawdziwy – nieprawdziwy lokator	52
12. Początek godzenia się z nierealnym	58
13. Rodzinna sielanka ze złymi wieściami w finale	63
14. Przerwana historia	67
15. Porażka bezrobotnej a roztaczanie uroku	73
16. Uroki rodzinnej tradycji	80
17. Bliskie spotkania z karoserią samochodową	86
18. Wieczorna wizyta ubeka	92
19. Jak to dalej było...	99
20. Z seniorami na tropie pracodawcy	104
21. Zbieranie myśli i wiedzy	108
22. Życzliwe dusze kontra dusze z pretensjami.	113
23. Lepienie przeszłości	119
24. Nie-bohaterka na afisz	124
25. Pierwsza praca.	130
26. Bliskie spotkania sąsiedzkie	136
27. Historia, przyjaźń i darmowe sprzątanie	143
28. Rozpoznanie terenu	148

29. Przedświąteczne rozmowy i wspomnienia	153
30. Twarze UB nie zdradzają swoich tajemnic	159
31. Kogo można spotkać, pstrykając w ucho?	165
32. Przyjaciel z dzieciństwa wychodzi poza listy	173
33. Poznawanie prawdy – kolejny krok.	179
34. W Uszy wszystko układa się pomyślniej	184
35. Konspiracyjne spotkanie, zakończone fatalnym zdemaskowaniem.	192
36. „Cały świat miał być nasz...”	197
37. Wielka „miłość” nieboszczki Celiny	201
38. Helena zakrzacza miasto, aby uwierzyć w ducha . .	207
39. Powiększający się zasięg wykopalisk a kurcząca się cierpliwość męża	213
40. Gdzie mężczyzna z dawnych lat?	217
41. Dać radę jak jasna cholera!	221
42. Noc z duchem sam na sam	227
43. Utrwalanie przyjacielskiego pocieszenia.	233
44. Kiedy rodzina daleko – czuwa duch	239
45. Niespodziewana inspekcja zatroskanej matki	243
46. Nocna przemiana w Terminatora	247
47. Dobre wiadomości w cieniu złych wieści.	252
48. Cisza na planie! Akcja!	257
49. Jak wyjść z tarapatów przy pomocy przyjaciół? . .	262
50. Rozsądek za wszelką cenę	269
51. Cmentarne klimaty i tajemnice	275
52. Rodzinne wypadki i niewiadome	283
53. Wpływ połamanych kości na stan umysłu mężczyzny	288
54. Przebijanie nogami z różnych powodów	293
55. Poziom bezpieczeństwa w mieście, które nigdy się nie budzi	299
56. Przyjacielska rozgrzewka przed nocną akcją	304
57. Szczęśliwy finał akcji wykopaliskowej.	310
58. Solidna wymówka pilnie poszukiwana	316

59. Rodzinne upiory nigdy nie zasypiają	320
60. Zmiany nastroju, frontu i wyglądu.	326
61. Cyganka prawdę ci powie	332
62. Wiatr historii w podróży	339
63. Kim jest Matylda Kucyk?	344
64. Jak to się stało?	350
65. Niespodziewana przesyłka z Kielc	355
66. Irene zabiera głos...	361
67. Sąsiedzi przerywają milczenie	375
68. Widma rozstania majaczą na horyzoncie	382
69. Ostatnie informacje wciąż napływają.	387
70. „Wszyscy pragną szczęśliwego końca...”	392